

Szklana pułapka 5, czyli dlaczego nie należy drażnić gwiazdy — Dirk

Od autora: Znacie cykl filmowy "Szklana pułapka"? Lubicie go? Ja też. Ale piąta część, jest tak koszmarnym gniotem, że aż chce się płakać. Swoje frustracje wylałem w poniższej recenzji w formie quasi-opowiadania.

I jeśli nie widzieliście tej części, to zaklinam Was - nie ruszajcie nawet kijem przez szmatkę!

Naturalnie wszelkie komentarze mile widziane - głównie odnośnie poniższego tekstu, bo o filmie w zasadzie nie ma co rozmawiać.

– Co oni wszyscy sobie w ogóle wyobrażają do kurwy nędzy?!

Bruce Willis ze złością zamknął ekran laptopa. Poderwał się z krzesła i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju. Gestykulował przy tym, nie potrafiąc opanować natrętnych myśli. Przez parę miesięcy wspólnie z Lenem Wisemanem kręcili czwartą część „Szklanej pułapki”. Bruce męczył się, wstawał codziennie rano i szedł na plan tylko po to, by upakować w filmie jak największą liczbę eksplozji, zestrzelić helikopter samochodem, a nawet pobiegać na skrzydle odrzutowca. I to wszystko z jednym zaledwie „fuckiem”. A teraz wielcy krytycy i reszta nerdów śmie zarzucać mu, że zepsuł serię? Że czwarta część nie ma nic wspólnego z poprzednikami? Że za dużo CGI? Że John McClane nie ma motywacji? Że się zmienił? Że jest niezniszczalny? A ta krew na twarzy i rana na ramieniu, to niby co?

– Mam was gdzieś – krzyknął i pogroził pięścią wyimaginowanym widzom.

Podszedł do barku, nalał sobie solidną ilość wódki i osuszył ją jednym haustem. Gdy alkohol rozszedł się po gardle i przełyku przyjemnym ciepłem, Bruce zaczął się zastanawiać. A gdyby tak nakręcić jeszcze jedną część? W pierwszym momencie chciał odrzucić ten pomysł, był już wszakże zmęczony wcielaniem się w nieustępliwego, cynicznego policjanta, a opinie publiczności odnośnie „Live Free or Die Hard” wbiły aktorowi bolącą szpilę. Im dłużej jednak myślał o możliwości realizacji kolejnego ogniwa serii, tym bardziej przekonywał samego siebie, że to doskonała, przełomowa idea, równa wynalezieniu koła, telesklepu, papieru toaletowego lub czegoś równie doniosłego. Po kilkunastu minutach w jego oczach pojawiły się złe błyski, a na usta wypłynął złośliwy uśmiešek. Decyzja zapadła – robię „piątkę”. Sięgnął po długopis, kajecik i zaczął gryzmolić pomysły.

Po pierwsze, forsa na realizację. Z tym nie powinno być problemu – wszak czwórka swoje zarobiła i producenci na samą myśl, że istnieje szansa na kolejny dopływ dolarów dostają ślinotoku.

Po drugie, scenariusz. W poprzednich częściach rozwaliliśmy budynek, kawał lotniska, uszczknęliśmy nieco Nowemu Yorkowi, a ostatnio przywaliliśmy z grubej rury całym Stanom. Logiczną konsekwencją byłoby zatem dać popalić światu... A może powrócimy do pierwowzoru i przedstawimy nieco bardziej lokalny konflikt? Eee nie... Pójdziemy w zagrożenie globalne. Dużo wybuchów, szybka praca kamery i w ogóle jazda bez trzymanki. I jeszcze kilka wybuchów. Wstawimy wielki pościg, potem skok z budynku i szalony zjazd rurą budowlaną, a na końcu epicka bitwa z helikopterem.

Tylko nie chcę żadnej bijatyki na pięści, dość już zebrałem po mordzie. Teraz muszę tylko wymyślić miejsce rozwalki...

Bruce podrapał się w głowę z zakłopotaniem. Wtem jego wzrok spoczął na stojącej na biurku butelce polskiej wódki. Przez chwilę korciło go, by to właśnie tam umieścić akcję filmu, ale później przypomniał so-

bie, jak ongiś zawitał do nadwiślańskiego kraju. Nie, ludziom w Polsce żyje się już wystarczająco ciężko. To może... Rosja! Tak! Tam i tak nikt nie zauważy różnicy. A finał zrobimy w Czarnobylu – wprawdzie to Ukraina, ale i tak przecież nikt nie sprawdzi. Teraz trzeba by jakoś połączyć wszystkie sceny ze sobą. Albo nie – po prostu dodamy tu i ówdzie eksplozję i skrócimy czas trwania do półtorej godziny. Po się wysilać... Chociaż z drugiej strony, można by wstawić zwrot akcji pod koniec filmu... E, coś wymyślimy na poczekaniu.

Po trzecie, reżyser. John McTiernan siedzi w więzieniu, a poza tym i tak by się nie zgodził. Potrzebujemy wyrobnika, który nie będzie myślał, tylko słuchał. Kogoś bez wyraźnego stylu, wyobraźni i wizji. Kogoś, kogo dewiza brzmi: „Motywacja bohatera? No ma broń, to strzela”. Len Wiseman odpada, bo on mimo wszystko czasem próbuje stawiać na swoim. Może Renny Harlin? Nie, aż tak zdesperowany, chyba nie jest.

Po paru minutach głębokiej zadumy Bruce wzruszył ramionami – właściwie to nawet nie mój problem. Zadzwonili się do producentów i wybiorą odpowiedniego kandydata.

Po czwarte, przeciwnicy. W poprzednich częściach John walczył z naprawdę groźnymi i twardymi skurczybykami. No może poza czwartą odsłoną, ale nawet tam terroryści stanowili dla McClane’a jako takie zagrożenie. Tym razem czarnym charakterem uczynimy... niedoszłego tancerza, uwielbiającego marchewki. Tak! Bo przecież nie ma nic groźniejszego i złowieszczonego, niż wirowanie w rytm muzyki – jak się ogląda te wszystkie tańce z celebrytami, to aż człowiek dostaje gęsiej skórki. Więc postanowione. Najemnicy? Doskonale wyszkoleni żołnierze? Parkourowcy? Phi. Tancerz lepszy. Do tego dorzucimy tabuny bezimiennych pomocników i jednego wielkiego szefa, który wydaje rozkazy przez telefon. I mówi po angielsku z rosyjskim akcentem. Strach się bać.

Po piąte, partner bohatera. Bruce zmarszczył czoło – planował, by piąta odsłona skupiła się na relacjach ojca z synem. Nie chciał jednak, aby to John Jr. stał się główną postacią, w końcu widzowie pragną jego, Bruce’a, a nie jakiegoś lalusiowatego młokosa. Szybko jednak znalazł rozwiązanie i tego problemu. Postanowił zatrudnić najbardziej nijakiego, mdłego aktora o charyzmie rzecznego kamienia, a dla pewności rozpisać postać Juniora w najgorszy możliwy sposób. Dzięki temu wszyscy skupią uwagę na starszym z McClane’ów.

Szósty punkt odtwórca roli Johna pokreślił w kajeciku kilka razy, wężykiem. Najnowsza odsłona musi mieć „dorosłą” kategorię wiekową. W tym jednym zgadzał się z fanami, iż „Die Hard” wyjątkowo mocno zakorzenione zostało w R-ce i żadne PG-13 nie ma prawa bytu. Bruce żywił jednak wątpliwości – znał ludzi z Foxa i obawiał się, że będą kręcić nosami. Potarł w namyśle brodę i zapatrzył się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Wreszcie wydumał – nakręcimy to tak, że kategorię będzie się dało dynamicznie zmienić – czyli mało krwi (doda się najwyżej w postprodukcji) i absolutnie żadnych scen w rodzaju sopla lodu przekuwającego oko. McClane oczywiście nawet nie spojrzy na butelkę z alkoholem, ani nie zapali papieroska. Okazjonalnie wrzuci się tu i ówdzie kilka słów na f. W razie czego, później wytną je przy montażu.

I wreszcie punkt siódmy – sama postać protagonisty. Zmienimy nieco jej charakterystykę. Zamiast sprytnego, momentami przerażonego gliniarza, który przypadkiem znalazł się nie tam gdzie trzeba, ale musi wziąć sprawy we własne ręce, zaprezentujemy mężczyznę pchającego się w aferę, uwielbiającego strzelać i rozwiązującego problemy pięścią (rzadko) i karabinem (często). Wprawdzie nie za to widzowie go pokochali, ale przecież im bardziej widowiskowo, tym lepiej.

Przez kilka godzin Bruce spisywał na kartce pomysły. Gdy skończył, za oknem pierwsze promienie słońca zaczynały już muskać szczyty najwyższych budynków. Zadowolony z siebie zamknął kajecik i udał się na zasłużony odpoczynek.

Po premierze „Szklana pułapka 5” poniosła druzgocącą klęskę zarówno wśród krytyków, jak i niewymagającej zazwyczaj publiczności. Reżyser John Moore złapał się za głowę i zaczął biadolić:

– Nie! Co ja zrobiłem! Najpierw „Max Payne”, a teraz to...! – Łzy wielkimi strumieniami ciekły po policzkach reżysera i skapywały z brody, mocząc przeluszczony T-shirt z napisem „Explosions are awesome!”.

– Ciężkie jest życie reżysera – powiedział i sięgnął po wielkiego hamburgera z podwójnym serem.

W innej części kraju, Bruce Willis rozsiadł się wygodnie w fotelu. W telewizji nadawali akurat reportaż o ogólnej hysterii, która wybuchła po pierwszych pokazach premierowych. Ludzie płakali, krzyczeli w niebogłosy, że ich świat runął, matki przytulały dzieci do piersi mamrocząc, iż „Wszystko jakoś się ułoży”, starcy kiwali bezgłośnie głowami, nie potrafiąc wykrztusić ani słowa, jakiś kapłan wymachiwał Biblią, wieszcząc koniec czasów, a dziennikarka z ledwie tłumioną rozpaczą w oczach zadawała pozornie pozbawionym emocji głosem pytania dwóm braciom, którzy właśnie wyszli z sali kinowej. Młodszy patrzył tępo w przestrzeń i nie odzywał się, a starszy wyrzucał z siebie żale. Przeklinał przy tym jak stary marynarz, ale nikt nawet nie myślał o cenzurze. Nie w takim historycznym momencie. W końcu umarł bohater...

Gdy kamera pokazała plener jednego z amerykańskich miast z unoszącymi się słupami dymu, a później nastąpiła przebitka na kołyszące się na gałęziach drzewa ciała widzów z pierwszych pokazów, dla których szok okazał się zbyt wielki, Bruce podkręcił węża (zapuszczonego specjalnie na tę chwilę) i wybuchnął głośnym, histerycznym śmiechem.

– Yippee-ki-yay, motherfuckers!!!

Z tyłu, na półce stała kolekcja płyt z filmami. Zdobiące okładki ekskluzywnych wydań pierwszych czterech części „Szklanej pułapki” oblicze głównego bohatera zdawało się spoglądać na zaśmiewające się szaleńczo, siedzące w fotelu wąsate alter ego z dezaprobatą i zażenowaniem. A może to tylko smutny refleks światła...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Dirk, dodano 06.04.2015 14:57

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.